



Mirosław Derecki

LONDYŃSKIE SPOTKANIA: SKĄD SIĘ BIORĄ „DZIECI-KWIATY”

W ostatnich dniach września prasa angielska, od „Timesa” poczynając, a na rewolwerowca „Daily Mirror” kończąc, pełna była artykułów, poświęconych charakterystycznemu odłamowi współczesnej młodzieży brytyjskiej - hippiesom, zwanym także *flower children* - dzieci-kwiaty.

W tytułach artykułów częściej jednak niż słowo hippies pojawiało się określenie *the squatters*, oznaczające dosłownie nielegalnych osiedleńców, a w danym wypadku dzikich lokatorów. Hippiesi bowiem - być może ośmieleni swym ostatnim „sukcesem”, jakim był ich sierpniowy festiwal na wyspie Wight u południowych wybrzeży Anglii - wystąpili gromadnie w samym Londynie, tym najem z „akcją” zajmowania nie zamieszkanego budynków. Przez długie godziny policja oblegała domy przy Picadilly Street oraz Endell Street, zajęto przez „nie-przystosowaną” młodzież, ubraną w kozle skóry, fioletowe lub zielone aksamitne spodnie i barwne wdzianka ozdobione kolorowymi lusterkami. Oblężeniu towarzyszyła atmosfera lekkiej hysterii, wokoło gromadziły się policyjne radiowozy i tłumy gapiów, a zabarykadowani w budynkach hippiesi wołali, że nie ruszy ich stamtąd żadna siła. Niektórzy demonstracyjnie zwieszali się z okien najwyższych pięter, ryzykując skręcenie karku.

W końcu zwyciężyła policja, zajmując - bez ofiar - opanowane przez młodzież domy i aresztując 62 hippiesów obojga płci. Po raz pierwszy, rozprawiono się z nimi tak zdecydowanie, ale też po raz pierwszy brytyjska opinia publiczna została tak mocno poruszona problemem młodzieży, traktowanym dotąd przez ogół raczej z przymrużeniem oka. Po raz pierwszy też prasa brytyjska zgodnym chórem uderzyła na alarm, wskazując mniej lub bardziej dobitnie na niebezpieczeństwo wynikające z dotychczasowego pobbłażania ekstrawagancjom młodzieży. Uświadomiono sobie że m.in. takie niebezpieczeństwo stanowią hippiesi i że - choć o tym już prasa raczej nie wspominała - jego źródeł należy się doszukiwać w panujących w kraju stosunkach społecznych i politycznych.

Niezależnie bowiem od zapatrywań poszczególnych warstw społecznych na sam „fenomen hippy”, znów w drastyczny sposób wyszła na światło dzienne sprawa londyńskich

bezdomych, skomplikowane problemy mieszkaniowe stolicy Wielkiej Brytanii. Lewicowa „Morning Star”, a nawet „The Guardian” zwracały uwagę na sympatię gorzej sytuowanych warstw społeczeństwa do hippiesów - skwaterów, jeśli nie wobec ich „filozofii” i postawy życiowej, to w każdym razie do ostatnio przedsięwziętej przez nich akcji.

Co gorsza, aresztowanie hippiesów i „odbicie” zajętych przez nich budynków może stać się początkiem głośnej sprawy sądowej, dodatkowo zwracającej uwagę społeczeństwa na problemy mieszkaniowe: hippiesi - prawnicy powołują się na ustawę sprzed kilkuset lat, głuszając, że nie można wobec aresztowanych stosować sankcji karnych, jako że nie zajęli oni cudzej własności siłą, a dostali się do dawno nie zamieszkanym domów przez pozabawione szyb okna. Z kolei policja ma nadzieję, udowodnienia, iż w zajętych pomieszczeniach palono narkotyki, co mogłoby być podstawą, do oskarżenia hippiesów o zorganizowanie tam nielegalnych palarni haszyszu, LSD czy marihuany. Niezależnie jednak od tego, jak się dalej potoczą wypadki, należy stwierdzić, że Wielka Brytania staje wobec skomplikowanego problemu młodzieżowego, zarazem - społecznego. Warto przy tym bliżej przyjrzeć się „fenomenowi hippy”, coraz dobitniej uwypuklającemu się w wielu krajach zachodnich.

6 stycznia 1968 r. znany tygodnik ilustrowany „Paris Match” zapoczątkował cykl artykułów o nowym fenomenie młodzieżowym, powstałym niedawno w Stanach Zjednoczonych - grupie młodzieży zwanej hippies. „Paris Match” znany jest bardziej z doskonałego serwisu fotograficznego niż ze względu na uprawianą w tym piśmie publicystyką, toteż przeniesiona za jego pośrednictwem na kontynent europejski wiadomość o hippiesach miała wszelkie cechy sensacji, rozdmuchiwania marginesowego, powstałego w Kalifornii, zjawiska. O wiele bardziej istotny mógł się wydawać wyrosły na amerykańskim kontynencie problem Hell Angels („Piekielnych Aniołów”) - rozwydrzonych wyrostków w czarnych skórzanych kurtkach z wizerunkiem czaszki, przemierzających wielkimi grupami Stany Zjednoczone na szybkich motocyklach i wywołujących dzikie awantury w małych, leżących na uboczu miasteczkach, z podpalaniem domów i porywaniem miejscowych dziewcząt włącznie. Niekiedy kojarzono Hell Angels z ruchem beatników, owych „młodych gniewnych” ludzi, rekrutujących się przecież najczęściej ze środowisk artystyczno-intelektualnych, podczas gdy „Piekielne Anioły” wywodziły się głównie z lumpen-proletariatu. W każdym razie jedni i drudzy mieścili się w pewnych utartych pojęciach Europejczyków o amerykańskiej młodzieży, dla których Stany Zjednoczone kojarzą się najczęściej z ekspansywnością, przemocą i polityką siły. Zatem beatnicy i Hell Angelse byli w pewnym sensie zjawiskiem logicznym, nie pozbawionym podstaw.

Tymczasem hippiesi „dzieci - kwiaty”, mieli być społecznością łagodną, odzeganą się od wszelkich militarystycznych atrybutów, opowiadając się za ogólnoswiatowym pokojem, nienawidzącą przemocy i gwałtu. Jednym z charakterystycznych „znaków rozpoznawczych” stały się kwiaty, które nie tylko w formie wzoru zdobiły ich ubiory, ale były również podczas pokojowych demonstracji wręczane atakującym policjantom. Prowadzili życie nomadów, wielu uciekało z miast na głęboką prowincję, gdzie wchodziło w zażyłość z Indianami, inni opanowywali całe dzielnice San Francisco czy Los Angeles, żyjąc grupowo w ubogich, często opuszczonych, jaskrawo pomalowanych przez siebie budynkach, tworząc swoiste komuny, paląc narkotyki, głosząc wolność seksualną, nieradko przymierając głodem, bo praca była dla nich pojęciem odległym. Wielu fascynowały religie Dalekiego Wschodu, przede wszystkim buddyzm i hinduizm. Prasa publikowała coraz więcej zdjęć młodych ludzi o długich włosach, oddających się kontemplacji na ulicach miast lub w buddyjskich czy hinduistycznych świątyniach, przejętych wegetarianizmem i ćwiczeniami jogi.

Wszystko to nie przeszkadzało owej młodzieży pasjonować się muzyką rock and rollową, wydawać resztek pieniędzy na płyty z nagraniami ulubionych zespołów i piosenkarzy. Więcej, owe zespoły piosenkarze stawali się swego rodzaju leaderami, prowadzącymi swych entuzjastów w jakimś niezbyt dokładnie sprecyzowanym kierunku. Zespoły muzyczne żyły niekiedy z hippiesami w swoistej symbiozie, niektóre z nich prowadziły „domy otwarte”, goszcząc w owych willach co bardziej wynędzniałe flower-children, zapraszając na posiłki czy udostępniając pomieszczenia kąpielowe. Bożyszczami młodzieży były z jednej strony zespoły muzyczne, wchodzące w skład szerokiego nurtu, w którego ramach zawarły się takie formy, jak psychodelic czy underground - jak i tak zwani folksingersi, wykonawcy ludowych ballad, protest-songów, wskazujących na istniejące zło społeczne - Bob Dylan, Joan Beaz czy Barry Mc Guire. Szczególnie Bob Dylan, autor i wykonawca licznych fingerpointing songs (pieśni oskarżycielskich wskazujących na jakiś problem polityczny, społeczny) stał się głównym idolem hippiesów.

Pozornie dziwnie brzmiące nazwy niektórych zespołów muzycznych – Grateful Dead („Wdzięczny nieboszczyk”) lub Big Brothes and Holding Company („Wieki Brat i Spółka Akcyjna”), świadczą jednak, po bliższym przyjrzeniu się twórczości tych zespołów, o ich swoistym „zaangażowaniu”, o ironicznym stosunku do wielu aspektów amerykańskiej rzeczywistości. Piosenka Donovana Universal Soldier („Uniwersalny żołnierz”) z 1966 r. powstała jako krytyka zbrojnego zaangażowania się USA w wojnę w Wietnamie. Podobnie przedstawia się sprawa z piosenką Barry Mc Guire'a - Eve of destruction („Wigilia zniszczenia”).

Jeśli zaś wrócić do głównych odbiorców tej twórczości, do hippiesów, to zadziwiający był fakt, że rekrutowali się oni przeważnie z rodzin dobrze sytuowanych, że uciekająca z zamożnych domów młodzież, przekładająca niedostatki „wolności” nad zmechanizowaną wygodę ogniska domowego, nie przekraczała na ogół wieku 25 lat.

W ciągu następnych miesięcy prasa mało uwagi poświęcała hippiesom. Na świecie zaszło w tym czasie wystarczająco wiele poważnych wypadków, ażeby miano zajmować się fantazjami młodzieży w USA. I również zapowiedź hippiesowskiej „krucjaty”, jaka miała wyruszyć do krajów Europy Zachodniej, przeszła - nawet w żadnych sensacji popołudniówkach - prawie bez echa.

Tymczasem w połowie 1969 r. hippiesi przypomnieli o sobie i to w sposób dobitny. W dniach 15-17 sierpnia, w niewielkiej miejscowości Bethel pod Nowym Jorkiem, zorganizowali oni Festiwal Muzyki i Sztuki, zapowiadany też przez organizatorów jako Ekspozycja Muzyki i Pokoju. Festiwal zgromadził ponad 400 tys. uczestników, a jak twierdzili obserwatorzy, gdyby trwał dłużej i gdyby policja nie zablokowała dróg dojazdowych do Bethel przybyło by około miliona hippiesów. Zgromadzona młodzież przez trzy dni biwakowała na farmie Moxa Jasnura, oglądając występy zespołów muzycznych, słuchając protest-songów, paląc narkotyki. Poważny „Time” początkowo pobłażliwie przyglądający się przygotowaniom do festiwalu, musiał później w artykule z 29 sierpnia stwierdzić: „Jako publiczna manifestacja potęgi, siły przyciągania i mocy osobliwej kultury młodzieży amerykańskiej lat sześćdziesiątych, zostanie on (festiwal) zapewne zaliczony do najdonioślejszych politycznych i socjologicznych wydarzeń stulecia”.

Oczywiście to wielka przesada, a i trochę sensacyjność, której nawet „Time” nie mógł sobie zaoszczędzić. Niemniej jednak nie można nie podkreślić faktu, że już wkrótce, w dniach 29-31 sierpnia, w odległej o tysiące kilometrów od Stanów Zjednoczonych Anglii eksplodowana następna hippiesowska bomba - podobny festiwal, zorganizowany na wyspie Wight z udziałem Boba Dylana, rodzimych Rolling Stonesów i szeregu innych angielskich zespołów muzycznych, który zgromadził prawie 200 tys. osób. Znaleźli się wśród nich poza Brytyjczykami Amerykanie, Skandynawowie i Niemcy z NRF. I znów trzy dni upłynęły na słuchaniu muzyki, manifestowaniu pokojowych przekonań, paleniu narkotyków. I znów, ku zdziwieniu opinii publicznej, impreza odbyła się w miarę spokojnie. W miarę spokojnie, a nawet z pewnym zainteresowaniem - może z uwagi na tak wysoko sobie w Anglii cenione „wolności obywatelskie” - przyjęła też opinia publiczna wieści o festiwalu. Poruszyć ją do głębi i oburzyć miała dopiero wiadomość o hippiesach-skwaterach. I teraz dopiero Anglicy (jak poprzednio Amerykanie) nie tylko dostrzegli rodzimych hippiesów, od dłuższego już przecież czasu krążących po ulicach Londynu, ale zostali zmuszeni do poważnego zastanowienia się nad problemem, który niedawno lapidarnie sformułował jeden z socjologów

amerykańskich, pisząc o hippiesach: „Wypowiedzieli oni wojnę współczesnej technice i stworzonej przez nią cywilizacji. Z zadziwiającą łatwością i przekonaniem o swojej racji, dzieci dostatku zgłosiły chęć życia według innych niż ich rodzice norm etycznych”.

Kim są hippiesi i właściwie o co im dokładnie chodzi? Odpowiedzieć na to niełatwo, bo (znowu – zdanie obserwatorów amerykańskich) „jest to młodzieżowy ruch polityczny, w którym zabrakło męża stanu, lub ruch religijny, w którym nie ma mesjasza”. Ogólnie rzecz biorąc, jest to wielka grupa młodzieży z krajów kapitalistycznych o wysokiej stopie życiowej, młodzieży kończącej obecnie szkoły średnie lub w wieku studenckim, a wywodzącej się głównie ze środowisk burżuazyjnych. Pozycję satelitarną zajmuje wśród nich pewien odłam młodszych wiekiem artystów, mających zresztą bardziej na uwadze zapewnienie sobie tą drogą rozgłosu, niż przejętych ideałami hippiesowskimi (przykładem choćby jeden z Beatlesów – milioner John Lenon i jego żona, japońska aktorka Yoko Ono). Znikomy odsetek stanowi młodzież pochodzenia robotniczego.

Również nie jest dokładnie ustalone skąd wywodzi się sama nazwa – *hippy*. Być może od angielskiego słowa *happy* – szczęśliwy, lub od amerykańskiego wyrażenia slangowego *hipped* – zwariowany na punkcie czegoś. Zresztą obydwie te określenia pasowałyby do „dzieci-kwiatów”: hippies są „zwariowani” na punkcie szczęścia, szczęścia innego niż to, jakie im proponuje model kulturowo-cywilizacyjny, stworzony przez ich rodziców: pogoń za pieniądzem, za coraz większym zyskiem, wykluczające siłą rzeczy jakiegokolwiek inne przyjemności poza zapewnieniem sobie dóbr materialnych. Gdzie każdy zarobiony grosz przelicza się skrzętnie na nowy, jeszcze lepszy samochód, na jeszcze nowocześniejsze wyposażenie kuchni, na jeszcze lepszy telewizor. Posiadanie lepszego samochodu prowadzi do zapewnienia dzieciom lepszego mariażu, a lepszy mariaż pozwoli dzieciom na kupienie jeszcze lepszego samochodu. Nie wolno pozwolić sobie na chwilę wytchnienia, bo od razu spada się na giełdzie o kilka punktów niżej. Przy tym systemie młodzi nie mogą sobie pozwolić na rozrywki kulturalne, bo ich na to nie stać, starsi pieniądze już mają, ale z kolei brak im czasu, ponieważ muszą robić dalsze pieniądze. I właściwie czas na odpoczynek przychodzi z chwilą położenia się do trumny.

Efekt jest taki, że dzieci zaczynają uciekać od własnych rodziców, pozbawionych już jakichkolwiek idei poza ideą pieniądza i próbują odnaleźć szczęście w warunkach całkowicie przeciwnych. Odrzucając dobra materialne próbują oddać się prostemu życiu na łonie natury. Siły do realizowania swych zamierzeń ma im dodawać m. in. palenie narkotyków. (Ale narkotyki to już cały odrębny problem młodzieżowy, i tyczący nie tylko hippiesów). W przeciwieństwie do starszego pokolenia, które nie uprawia życia towarzyskiego, bo nie ma na nie czasu - młodzież znajduje przyjemność w życiu gromadnym. „Życie razem”, braterstwo, wzajemna pomoc, to naczelne hasła głoszone przez hippiesów, hasła, które we współczesnym

społeczeństwie kapitalistycznym stały się już odległymi pojęciami. Wynaturzone przez rodziców pojęcie pracy prowadzi do całkowitej negacji jej wartości przez dzieci (Poza najniezbędniejszymi czynnościami pozwalającymi na przeżycie dnia). Związana z kultem pieniądza polityka siły i ciągła ekspansja militarna, szczególnie jaskrawa na przykładzie wojny w Wietnamie, rodzi nastroje antimilitarystyczne, chęć opowiadania się za pokajam

Hippiesowskie „szczęście” jest jednak bardzo kalekie. „Filozofia” szczęścia tylko na zasadzie protestu i negacji jest raczej filozofią rozpacz i nihilizmu. A w każdym razie hippiesi są w położeniu, które można nazwać rozpaczliwym. Negując i protestując, biernie wyczekując ogólnoświatowego pokoju, pozostają jednak pod całym ciężarem balastu pojęć i przekonań, w których wzrastali od dziecka, a od których nie potrafią się uwolnić. Przypominają ludzi, którzy zaraz na początku podjętej pracy opuścili ręce i stanęli beczynnie. To też „zasługa” rodziców i systemu.

W tej sytuacji nieprzypadkowo narodziło się wśród hippiesów wielkie zainteresowanie religiami Dalekiego Wschodu, głównie hinduizmem, a szczególnie jego zwulgaryzowaną formą – ramakrisznaizmem, który, dzięki ożywionej zagranicznej działalności Vivekanandy, ucznia znanego mistyka hinduskiego Ramakriszny, zyskał sobie na początku bieżącego stulecia wielu zwolenników w Stanach Zjednoczonych. (W Nowym Jorku istnieje od dawna i prowadzi aktywną działalność Romakrishna Mission, zakładającą szpitale i sierocińce oraz świątynie kultu boga Kriszny, a także wysyłająca licznych swami (misjonarzy) do innych krajów). Ramakrisznaizm nawołuje między innymi do tolerancji, pokoju i łagodności, przypisuje wielkie znaczenie kontemplacji, zaleca rezygnację z dóbr materialnych. Atrakcyjny dla hippiesów jest także mit związany z osobą Kriszny, który występuje jako bóg łagodny, wiele lat spędza wśród prostego ludu jako pasterz, będąc znany jednocześnie z bujnego życia erotycznego. Przekazy literackie odmalowują ten okres życia Kriszny jako sielankowy. Podobno na dźwięk jego fletu, rozlegający się w dolinach, podążyły tam całe gromady zakochanych pasterek.

Wszystkie te okoliczności jak najbardziej odpowiadają „zbuntowanej” młodzieży. Dając ujście tęsknotom za wyzwoleniem się od burżuazyjnego modelu życia, wychodzą jednak naprzeciw atmosferze seksualizmu, w której od pewnego czasu wzrasta (i którą akceptuje) pokolenie młodych Anglików, Amerykanów czy Szwedów.

Dążąc do naiwnie wyimaginowanego ideału szczęścia, znaczna część hippiesów zdaje sobie jednak sprawę, że na dłuższą metę jest to rzecz niemożliwa do zrealizowania. Przyjęli więc postawę „weekendowych” hippiesów. W ciągu tygodnia uczą się i pracują, a tylko w sobotę i niedzielę oraz w czasie wakacji włączają się do społeczności „dzieci-kwiatów”, traktując to jako rodzaj przygody. Inni, a jest ich bardzo liczna grupa, zmęczeni trudami „idealnego” życia, wracają na łono rodziny.

Amerykanin Teodor Roszek, wypowiadając się o flower-children, stwierdził dość pompatycznie: „Rewolucjoniści z Bethel przypominają poniekąd pierwszych chrześcijan, którzy z przyczyn religijnych odrzucili chwałę Grecji i wielkość Rzymu i tak przynieśli zgubę imperium pogańskiemu, a potem zbudowali nowe. Lecz nowe formacje nie niosą ze sobą gwarancji powodzenia, a rewolucja, oparta na braku rozsądku, może przynieść raczej Epokę Barbarzyństwa niż Nowe Jeruzalem”.

Oceniając zaś rzecz całą bardziej spokojnie należy stwierdzić, iż niezależnie od całej żywołości i złożoności, ruch hippiesów jest zjawiskiem pobocznym i to nie od hippiesów zależy, jak się będą dalej kształtowały stosunki społeczno-polityczne w Stanach Zjednoczonych czy też w innych krajach kapitalistycznych. Hippiesi są natomiast jednym z dowodów, świadczących o rozkładzie współczesnych społeczeństw kapitalistycznych.

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 22, s. 1,5.